

## Inflacyjne źródło deflacji

Autor: **David Howden**

Źródło: [mises.org](http://mises.org)

Tłumaczenie: **Paweł Kot**

Często słyhać dziś głosy — i to po obu stronach Atlantyku — że poziom inflacji jest niebezpiecznie niski. Podczas gdy większość banków centralnych zakłada inflację cenową na poziomie około 2–3 procent, ogólne indeksy cen w większości krajów Zachodu spadły poniżej dolnej granicy zakładanego przedziału. Pojawia się strach przed deflacją — [apoplitoryzmofobia](#) — jak nazywa to zjawisko Mark Thorton.



Nie wchodząc w to, czy deflacja jest dobra, czy zła, korzystna czy niekorzystna, powinniśmy określić, skąd się w ogóle bierze. (Zainteresowany czytelnik może sięgnąć po: [Less than Zero: The Case for a Falling Price Level in a Growing Economy](#) George'a Selgina i [Who's Afraid of Deflation?](#) Philippa Bagusa, gdzie zapozna się z pozytywną stroną obniżania się poziomu cen).

Mówiąc ściśle, inflacja i deflacja mogą wynikać tylko ze zmiany w ilości pieniądza w obiegu. Zwiększenie ilości dolarów, przy niezmiennych innych czynnikach, powoduje wzrost cen. Zmniejszenie ilości dolarów będzie miało odwrotny efekt. Podczas gdy okresy inflacji mogą zdarzać się w każdym systemie monetarnym, deflacja występuje tylko w jednym — bankowości z rezerwą cząstkową.

Dawno, dawno temu istniał system zbudowany na koncepcji utrzymywania 100-procentowej rezerwy. Osoba zanoszą swoje ciężko zarobione pieniądze do banku, składała do sejfu, zaś bank obiecywał chronić je, aż wróci po ich odbiór. Ponieważ pieniądze są w pełni zamienne (tj. nie umiemy odróżnić jednego banknotu od drugiego, tak jak ziaren kukurydzy), bank obiecywał trzymać u siebie *tantundem* — ilościowy i jakościowy odpowiednik

zdeponowanego dobra. Innymi słowy, jeśli zdeponowałbyś jednego dolara, bank obiecałby trzymać jednego dolara w sejfie, ale niekoniecznie tego samego.

W pewnym momencie branża bankowa przerzuciła się na coś, co znamy dziś pod nazwą bankowości z rezerwą cząstkową. Bank nie był już prawnie zobowiązany do trzymania wszystkich depozytów. W końcu przecież rzadko zdarzało się, żeby wszyscy zgłosili się po swoje depozyty w tym samym czasie. Banki pożyczały część przechowywanych przez siebie depozytów i w ten sposób tworzyły większą liczbę roszczeń do pieniędzy, chociaż w sejfach nie było tylu uncji złota.

Rezerwa Federalna nakłada dzisiaj na banki wymóg utrzymywania rezerwy, minimalnego odsetka wszystkich depozytów, która musi znajdować się w skarbcach banku. Jeśli więc deponent otwiera konto w amerykańskim banku, żeby wpłacić 100 USD, wymaganą rezerwą jest kwota, którą bank musi zgodnie z prawem na stałe trzymać w skarbcu. Z resztą tej sumy bank może zrobić, co tylko chce. Zazwyczaj są to pożyczki dla innych ludzi.

Obecnie Fed wymaga rezerw na poziomie bliskim zera procent. Oznacza to, że amerykańskie banki nie są zobowiązane do trzymania żadnych depozytów. Nasz deponent mógłby więc teoretycznie zobaczyć, jak wszystkie jego zdeponowane pieniądze są pożyczane komuś innemu w tym samym momencie, gdy powierzył je bankowi.

Wielu ludzi uważa, że jest to kwestia dyskusyjna. Banki utrzymują na wszelki wypadek małe rezerwy, by mieć pod ręką pieniądze, gdy ludzie przyjdą wycofać swoje depozyty. W czasach koniunktury, gdy na rynkach istnieje duża płynność, to nie widać większych problemów w tym systemie. Zapytaj jednak deponenta jednego z 92 amerykańskich banków, które stały się niewypłacalne w 2011 roku, czy system „rezerwy cząstkowej” to kwestia dyskusyjna. Gdy banki tracą płynność, niezwykle trudno jest honorować wszystkie depozyty, a w niektórych przypadkach jest to wręcz niemożliwe.

Jest to najlepiej rozpoznany problem dotyczący systemu rezerwy cząstkowej — problem dostrzegany przez wszystkich ekonomistów — ale jest jeszcze jedna, nie mniej ważna sprawa.

Wymagając by tylko część depozytów była trzymana jako rezerwa, pozwala się bankom stworzyć więcej środków wymiany (albo bardziej poprawnie, *fiducjarnych środków wymiany*), niż może pokryć podaż pieniądza bazowego. Ten

wzrost podaży pieniądza uruchamia siły inflacyjne, które banki centralne próbują ograniczyć do omówionego wyżej zakresu 2–3 procent.

Nie rozumie się tego, że każda deflacja może wynikać tylko z wcześniejszej inflacji. Rzeczywiście, jak pisze Murray Rothbard w swoim traktacie *Ekonomia wolnego rynku*:

*Jasne jest, że inflacja to główny punkt i główny cel interwencji monetarnej. Nie może być deflacji, jeśli wcześniej w jakimś okresie nie było inflacji.*

Zjawisko, które przeraża bankierów na całym świecie i z którym walczą z całą swoją mocą — deflacja — powstaje jako dzieło ich własnych rąk. Bez okresu inflacji prowadzącego do obecnej sytuacji nie byłoby zagrożenia deflacją. System bankowości z rezerwą cząstkową pozwala na ekspansję podaży pieniądza, co wytwarza warunki dla zaistnienia deflacji. Jeśli ta deflacja ma być postrzegana jako coś złego (a chciałbym podkreślić słowo „jeśli”), to sensownym byłoby jej wyeliminowanie. Powstrzymując system bankowości z rezerwą cząstkową, zlikwidowalibyśmy źródło deflacji: inflację.

Jeśli działania Fedu i wszystkich innych banków centralnych przez ostatnie trzy lata wydawały się bezładne, to nie powinno nas to dziwić. Walczą z wrogiem — deflacją — którego sami stworzyli. Uciekając przed przyznaniem się do winy, próbują zasłonić prawdę, dokonując coraz bardziej niepewnych i nieprzekonujących działań. Może sensowne jest teraz porzucenie systemu rezerwy cząstkowej, który jest odpowiedzialny za cały ten bałagan?